

OPOWIEŚĆ O ŚWIECIE, KTÓRY JEST KLUBEM WYŁĄCZNIE  
DLA ZARABIAJĄCYCH SIĘDMIOCYFROWE SUMY

# PINEAPPLE STREET JENNY JACKSON



*Dla Torreya*

„Milenialsi zostaną beneficjentami największego w historii Ameryki międzypokoleniowego transferu aktywów, w żargonie finansistów zwanego Wielkim Transferem Bogactwa. Według prognoz tylko w następnej dekadzie na ich konta spłyną od rodziców biliony dolarów”.

ZOË BEERY, „New York Times”

„Mieszkam na Brooklynie. Z wyboru”.

TRUMAN CAPOTE

## PRELUDIUM

Curtis McCoy przyszedł za wcześnie na umówione na dziesiątą spotkanie, więc usiadł z kawą przy oknie, gdzie czuł rozwodnione kwietniowe słońce. Była sobota, w Joe Coffee panował tłok, a Brooklyn Heights tętniło życiem: kobiety w legginsach pchały wózki po Hicks Street, psiarze gromadzili się przy ławkach na Pineapple Street, rodzinne grupki spieszyły się na mecze futbolu, lekcje pływania i przyjęcia urodzinowe koło staroświeckiej karuzeli w parku.

Przy sąsiednim stoliku siedziała matka z dwiema dorosłymi córkami – wszystkie popijały kawę z niebiesko-białych papierowych kubków i wpatrywały się w jeden telefon.

– O, a ten? Na profilu pisze, że lubi biegać, kisić kimchi i „burzyć kapitalizm”.

Curtis próbował nie podsłuchiwać, ale pokusa była zbyt silna.

– Darley, on jest ode mnie dwa razy starszy. Czy ty w ogóle rozumiesz, jak działa ta apka?

Imię Darley brzmiało znajomo, ale Curtis nie wiedział, skąd kojarzy tę dziewczynę. Brooklyn Heights to nieduża dzielnica, pewnie widział ją w kolejce po kanapki u Lasena albo w siłowni na Clark Street.

- No dobra, dobra. A ten pisze: „Cis weganin szuka bratniej duszy do wspólnej opieki nad planetą. Nie jedz niczego, co miało twarz. Oprócz bogaczy”.

- Nie możesz umawiać się z weganinem. Buty ze sztucznej skóry są ohydne! - wtrąciła matka. - Daj mi ten telefon. Lifi jest strasznie marne.

- Mówi się łaj-faj, mamo.

Curtis zaryzykował szybki rzut oka na sąsiadki. Wszystkie trzy miały na sobie białe stroje do tenisa: matka blondynka w złotych kolczykach i z mocno upierścienionymi palcami, córki, obydwie brunetki, jedna patykowata z prostą fryzurą do ramion, druga nieco pulchniejsza, z długimi, falistymi włosami, które luźno upięła z tyłu. Curtis szybko spuścił wzrok i odłamał kawałek bułeczki z makiem.

- „Biseksualny niemonogamista szuka lewackiej dominy, żeby razem zburzyć patriariat. Przesuń w prawo, jeśli chcesz potańczyć”. Czy ja mam wylew? - wymamrotała starsza kobieta. - Nic z tego nie rozumiem.

Curtis z trudem stłumił parsknięcie.

- Oddaj mi ten telefon, mamo. - Córka z falistymi włosami wyrwała matce iPhone'a i wrzuciła go do torby.

Wtedy Curtis nagle zdał sobie sprawę, że faktycznie ją zna. To była Georgiana Stockton, z którą przed dziesięciu laty chodził do szkoły przy Henry Street. Rozważał, czy się nie przywitać, ale wtedy by się wydało, że od początku je podsłuchiwał.

- Za moich czasów wszystko było dużo prostsze - stwierdziła z dezaprobatą matka Georgiany. - Dziewczyna

umawiała się z partnerem z balu debiutantek albo współlokatorem brata z Princeton.

– Jasne, mamó, ale moje pokolenie wyleczyło się już z elitaryzmu i snobizmu – odparła Georgiana, przewracając oczami.

Curtis uśmiechnął się w duchu. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak identyczną rozmowę odbywa z własną matką, usiłując jej wyjaśnić, że nie, nie ożeni się z córką jej przyjaciółki tylko dlatego, że mają sąsiednie posiadłości na Martha's Vineyard. Kiedy kątem oka obserwował Georgianę, ona nagle poderwała się z krzesła.

– O, nie! Zostawiłam bransoletkę od Cartiera w beemce Leny, a ona zaraz jedzie do babci do Southampton!

Georgiana zarzuciła torbę na ramię, chwyciła rakieta z podłogi, złożyła szybkie pocałunki na policzkach mamy i siostry, po czym pognała do drzwi. Mijając Curtisa, uderzyła rakieta w jego stolik, tak że kawa zalala mu bułeczkę. Znajomą z dzieciństwa pożegnał więc zmarszczeniem brwi.

Sasha miała w domu pokój, który stanowił portal do innego wymiaru, a wymiarem tym był rok 1997. Tam znalazła starego obłego maca w niebieskiej obudowie, kurtkę narciarską z pękiem sztywnych biletów na wyciąg nadal przypiętych do zamka, plik pomarszczonych kart pokładowych oraz lufkę i żółtą zapalniczkę schowane na dnie szuflady. Kiedy tylko Sasha wspominała mężowi, że ma ogromną ochotę spakować szkolne pamiątki jego siostry do pudła, on przewracał oczami i prosił ją o cierpliwość: „Zabierze je, jak będzie miała czas”. Ale Sasha wcale nie była tego taka pewna, a dziwnie żyło się w domu, w którym jeden pokój jest zamknięty i wyłączony z użytku, niczym mauzoleum zmarłego dziecka.

W lepsze dni Sasha zdawała sobie sprawę, jakiego przywileju dostąpiła. Mieszkała w trzypiętrowej brooklyńskiej rezydencji z wapienia, imponującej eleganckiej kamienicy, w której zmieściłoby się dziesięć kawalerek, jakie wynajmowała wcześniej. W gorsze dni miała jednak wrażenie, że przebywa w kapsule czasu, w domu,

w którym jej mąż dorastał i którego nigdy nie opuścił, w domu pełnym jego rodzinnych wspomnień, opowieści, a przede wszystkim rodzinnego chłamu.

Trzy tygodnie po tym, jak się tu z Cordem wprowadzili, Sasha zaprosiła teściów na kolację. „Przygotuję tarty z grzybami i sałatkę z kozim serem”, zapowiedziała w mailu. Przez cały ranek walczyła ciasto, pofatygowała się nawet na luksusowy targ przy Montague Street, żeby kupić pestki granatu do posypania delikatnych listków sałaty. Odkurzyła salon, uporządkowała półki i wstawiła sancerre do lodówki.

Teściowie zjawili się z trzema płóciennymi torbami L.L.Bean.

– O, nie trzeba było nic przynosić! – zawołała skonsternowana Sasha.

– Sasha – zaświergotała teściowa, odwieszając do szafy żakiet bouclé od Chanel – koniecznie musisz nam opowiedzieć o waszym miesiącu miodowym.

Zaniosła torby do kuchni, a następnie wyjęła z nich butelkę białego burgunda, dwa bukiety w niskich wazonach, obrus z motywem *fleur-de-lis* oraz trzy żaroodporne naczynia marki Williams Sonoma z przykrywkami. Ustawiła je w rzędzie na ladzie, a potem, jak kobieta, która od czterdziestu lat króluje w tej kuchni, otworzyła szafkę, żeby wziąć sobie kieliszek.

– Upiekłam tarty z grzybami – nieśmiało powiedziała Sasha i nagle poczuła się jak hostessa w dyskoncie, która wciska klientom promocyjne próbki plastikowego sera.

– Tak, kochanie, czytałam twojego maila. Domyśliłam się, że kolacja będzie w stylu francuskim. Daj mi znać na dziesięć minut przed jedzeniem, to wstawię do piekarnika swoje coq au vin. Przyniosłam też cykorie w szynce

po prowansalsku. Jest tego mnóstwo, więc może twoja sałatka nie będzie potrzebna. Świeczniki są w tej szufladzie. A teraz chodźmy obejrzyć dekorację stołu, sprawdzimy, czego jeszcze nam trzeba.

W poczuciu solidarności Cord zjadł tartę i sałatkę, ale kiedy Sasha przyłapała go, jak z utęsknieniem patrzy na cykorie, blade się do niego uśmiechnęła i powiedziała:

– Możesz zjeść te cholerne jarzyny, ale dziś śpisz na kanapie.

Układ był dla nich nowy i Sasha rozumiała, że potrzebują czasu, żeby się do niego przyzwyczaić. Rodzice Corda, Chip i Tilda, od lat narzekali, że dom jest dla nich za duży, że mają za daleko do garażu, że męczy ich odśnieżanie i wynoszenie kubłów z recyklingiem na chodnik. Mieli udziały w apartamentowcu dwie przecznice dalej – dawnym brooklyńskim kinie, które podzielono na pięć luksusowych mieszkań – i postanowili zająć tam dwupoziomowy apartament. Przeprowadzka zajęła im ledwie tydzień, korzystali tylko ze swojego starego lexusa i z pomocy męża gosposi, któremu zapłacili trzysta dolarów. Wydawało się, że szybko i bezboleśnie rozstali się z domem, w którym spędzili cztery dekady, ale Sashy trudno było ustalić, co poza ubraniami tak naprawdę zabrali do nowego lokum. Zostawili nawet olbrzymie łóżce z czterema kolumnami. Sasha czuła się dość dziwnie, śpiąc w łóżku po teściach.

Stocktonowie zdecydowali, że Sasha i Cord wprowadzą się do ich domu i będą w nim mieszkać tak długo, jak chcą. Kiedy pewnego dnia postanowią go sprzedać, pieniądze rozdzielą między Corda i jego siostry. W umowie były jeszcze jakieś inne postanowienia pozwalające uniknąć zbędnych podatków spadkowych, ale tych stron

Sasha specjalnie nie czytała. Stocktonowie zgodzili się, żeby poślubiła ich syna, ale instynktownie rozumiała, że woleliby zostać nakryci podczas trójkątnej orgietki z brydżowym partnerem Tildy niż wtajemniczać Saszę w arkana swoich zeznań podatkowych.

Po kolacji Sasha i Cord zajęli się sprzątaniem naczyń ze stołu, natomiast teściowie udali się do salonu na digestif. W kącie pokoju stał wózek barowy z butelkami starego koniaku, który lubili sączyć z maleńkich szklaneczek ze złotym rantem. Jak wszystko inne w tym domu, również szklaneczki były bardzo stare i miały swoją historię. Na wystrój salonu składały się długie zasłony z niebieskiego aksamitu, fortepian oraz szorstka kanapa na rzeźbionych nóżkach, która dawniej stała w willi gubernatora. Kiedyś Sasha nieopatrznie na niej usiadła i dostała strasznej wysypki, tak że przed spaniem musiała wcierać w uda balsam kalaminowy. W przedsionku był jeszcze kandelabr, a w jadalni zegar szafkowy, który bił tak głośno, że Sasha poderwała się z krzykiem, kiedy usłyszała go pierwszy raz, oraz ogromny obraz statku na groźnym ciemnym oceanie. W domu roiło się od akcentów marynistycznych, co było nieco zabawne, bo znajdowali się na Brooklynie, nie w Gloucester czy Nantucket, a choć Chipowi i Tildzie zdarzało się spędzać lato pod żaglami, zwykle wynajmowali jednak łodzie z załogą. Na szkle wygrawerowane były kotwice, podkładki na stół zdobiły obrazy okrętów, w łazience wisiała oprawiona mapa morska, nawet na ręcznikach plażowych wyszyte były instrukcje wiązania węzłów żeglarskich. Czasem Sasha wieczorami spacerowała po domu i przejeżdżając ręką po starych ramach i świecznikach, szeptała: „Zabezpieczyć luki”, albo: „Zmyć pokład”, czym rozśmieszała sama siebie.

Kiedy młodzi znieśli wszystkie naczynia do kuchni, dołączyli do rodziców w salonie. Cord nalał wszystkim po lampce koniaku. Smakował lekko i leczniczo. Sasha zrobiła się dziwnie świadoma włosków w swoim nosie, ale dopiła go dla towarzystwa.

– No to jak wam się tu podoba, dzieci? – zapytała Tilda, zakładając nogę na nogę. Przebrała się do kolacji. Miała na sobie kolorową bluzkę, ołówkową spódnicę, przezroczyste rajstopy i buty na ośmiocentymetrowych obcasach. Wszyscy Stocktonowie byli dość wysocy, więc w szpilkach teściowa zdecydowanie górowała nad Sashą. Jeśli ktokolwiek twierdziłby, że nie jest to celowe, kłamałby w żywe oczy.

– Jest cudownie. – Sasha się uśmiechnęła. – Szczęściara ze mnie, że mogę mieszkać w takim pięknym i przestronnym domu.

– Ale mam – zagaił Cord – chcielibyśmy co nieco pozmieniać.

– Oczywiście, kochanie. Jesteście u siebie.

– Naprawdę – zawtórował jej Chip. – My zadomowiliśmy się już na Orange Street.

– To bardzo miłe z waszej strony – zapaliła się Sasha. – Właśnie myślałam, że garderoba w sypialni jest trochę ciasna, ale jeśli zdemontowalibyśmy te szafki z tyłu...

– O nie, kochana – przerwała jej Tilda. – Nie powinnaś tego robić. Są idealne do przechowywania butów, których akurat nie nosisz, czapek i kapeluszy z rondem, których nie chcesz pognieść. Zdecydowanie nie radzę ci się ich pozbywać.

– W porządku, rozumiem – przytaknęła Sasha.

– A co z meblami w salonie? – Cord podjął kolejną próbę. – Moglibyśmy kupić naprawdę wygodną kanapę i zmienić zasłony, żeby wpadało tu więcej światła.

– Ale te zasłony były szyte na miarę. Okna są olbrzymie. Jeśli zdejmiecie zasłony, szybko się przekonacie, jak trudno kupić coś, co tu pasuje. – Tilda smutno poikiwała głową, a jej blond włosy połyskiwały w blasku żyrandola. – Dajcie sobie trochę czasu, żeby tu pomieszkować i naprawdę poznać ten dom. Wtedy zastanowicie się, co zmienić, żeby było wam jak najwygodniej. Naprawdę chcemy, żebyście czuli się tu jak u siebie. – Po tych słowach Tilda mocno poklepała Sashę po udzie, wstała i skłaniając głowę do męża, ruszyła do wyjścia. – Pójdziemy już, dzięki za kolację. Creusetę zostawię, możesz wstać go do zmywarki. Nie trzeba myć go ręcznie. Wezmę go następnym razem. Albo możesz nam go podrzucić. A wazony sobie zatrzymaj. Zauważyłam, że dekoracja stołu jest bardzo skromna. – Tilda włożyła żakiet, kremoworóżowy z nutką lawendy, zawiesiła torebkę na ramieniu i pokierowała męża ku drzwiom. Potem sprowadziła go po schodach i ruszyli do swojego nowo urządzonego i pozbawionego elementów marynistycznych apartamentu.

\*

Ilekrót ktoś pytał Sashę, jak się z Cordem poznali, odpowiadała: „Byłam jego terapeutką”. (Żart – przedstawiciele białych anglosaskich elit nie uznają terapii). W świecie Matcha i Tindera ich historia wydawała się bardziej staroświecka niż kadryl. Sasha siedziała z kieliszkiem wina przy barze w Tabac. Wyczerpała się jej bateria w telefonie, więc sięgnęła po porzuconego „New York Timesa”. Krzyżówka w gazecie była prawie skończona – wyczyn, który Sashy nigdy się nie udał. Kiedy analizowała odpowiedzi, Cord podszedł do baru, żeby złożyć zamówienie

i zagadnął do niej, podziwiając piękną kobietę, która w dodatku jest mistrzynią gier słownych.

Tydzień później spotkali się na drinka i choć „ich związek w stu procentach opierał się na kłamstwie” – jak mawiał Cord, kiedy odkrył, że Sasha nie potrafi rozwiązać nawet prostej poniedziałkowej krzyżówki – rozpoczęła się romantyczna idylla.

To znaczy idylla, jaka może przypaść w udziale prawdziwym, dobrze funkcjonującym dorosłym z normalnym bagażem doświadczeń, stopniem niezależności, poziomem spożycia alkoholu i apetytem na seks. Pierwszy wspólny rok spędzili na tym, co absorbuje wszystkie nowojorskie pary tuż po trzydziestce: szeptali z ożywieniem w kącie baru na przyjęciach urodzinowych, wkładali mnóstwo energii w rezerwowanie stolików w restauracjach serwujących ramen z jajkami, przemycali przekąski do kina i starannie ubierali się na brunchy ze znajomymi, w skrytości ducha marząc o czasach, kiedy będą się czuć ze sobą na tyle swobodnie, żeby spędzać niedziele na kanapie, jedząc kanapki z bekonem z delikatesów na dole i czytając „Sunday Timesa”. Oczywiście zdarzały im się też kłótnie. Kiedy Cord namówił ją na biwak i zalało im namiot, a on na domiar złego śmiał się, że Sasha boi się sama pójść w nocy sikać, zarzekła się, że jej noga już w Maine nie postanie. Innym razem Vara, najlepsza przyjaciółka Sashy, zaprosiła ich na otwarcie swojej galerii. Cord nie przyszedł, bo musiał zostać w pracy, nie rozumiał jednak ciężaru swojej przewiny. Gdy natomiast on dostał zapalenia spojówek i wyglądał jak wściekły królik, Sasha tak mu docinała, że w końcu się obraził. Ogólnie rzecz biorąc, ich romans był książkowy.

Długo nie zorientowała się, że Cord jest bogaty – żenująco długo, biorąc pod uwagę, że ma na imię Cord. Jego

mieszkanie było ładne, ale całkiem normalne. Jeździł absolutnym gruchotem. Ubrania miał zwyczajne, a o swoje rzeczy dbał niemal obsesyjnie. Portfela używał dotąd, aż skóra całkowicie popękała, w spodniach nosił paski, które dostał od babci w liceum, a z iPhone'em obchodził się tak, jakby była to atomowa walizka, którą trzeba przykuć do nadgarstka albo przynajmniej zapakować w ochroniacz ekranu i pokrowiec grubszy niż kromka chleba. Być może Sasha za dużo razy obejrzała *Wilka z Wall Street*, bo wydawało jej się, że bogaci nowojorczycy mają ulizane włosy i nieustannie sypią pieniędzmi w ekskluzywnych barach. Okazało się, że swetry noszą do zdercia i mają chorobliwie bliskie relacje z matką.

Cord miał na punkcie rodziny lekką obsesję. Z ojcem codziennie pracował biurko w biurko, obydwie siostry mieszkaly w tej samej dzielnicy, więc nieustannie umawiał się z nimi na kolacje, a przez telefon rozmawiali częściej niż Sasha z najbliższą przyjaciółką. Cord traktował rodziców w sposób, który dla Sashy był nie do pojęcia: z ojcem chodził do fryzjera, a ilekroć kupował sobie koszulę, brał dla niego drugą, identyczną, matce kupował ulubione francuskie wino w sklepie przy Astor Place i masował jej stopy w taki sposób, że Sasha wychodziła z pokoju. Kto masuje stopy własnej matce? Za każdym razem, kiedy widziała Corda w akcji, przypominała jej się scena z *Pulp Fiction*, w której John Travolta porównuje masaż stóp do seksu oralnego, i robiło jej się tak przykro, że była bliska płaczu.

Sasha też kochała swoich rodziców, ale ich relacja nie była aż tak symbiotyczna. Matka i ojciec luźno interesowali się jej pracą, rozmawiali przez telefon w każdą niedzielę, w tygodniu trochę pisali do siebie, a przy okazji odwiedzin w Maine Sasha odkrywała, że wymienili auto

na nowe albo wyburzyli ścianę między kuchnią a salonem, w ogóle jej o tym nie wspominając.

Szwagierki były dla Sashy mile. Wysyłały jej wiadomości na urodziny i zawsze pytały o zdrowie jej krewnych, a na wakacjach pożyczaly jej rakiety i strój do tenisa, żeby mogła dołączyć do rodzinnych rozgrywek. Mimo to Sasha czuła, że jej obecność je uwiera. Bywało, że opowiadała coś Darley, starszej siostrze Corda, i kiedy ten wchodził do pokoju, Darley po prostu przestawała słuchać i zaczynała zadawać pytania jemu. Młodsza siostra, Georgiana, pozornie rozmawiała ze wszystkimi, ale Sasha zauważyła, że nie spuszcza z oczu rodzeństwa. Ich rodzina była całością, zamkniętym systemem, do którego Sasha nie mogła przeniknąć.

\*

Stocktonowie pracowali w nieruchomościach. Początkowo Sashę bardzo więc dziwiło, że ich własny dom jest tak zagracony. Nie powinni raczej mieszkać w minimalistycznych wnętrzach rodem z „Architectural Digest”? Okazało się jednak, że ich biznes polega nie tyle na sprzedawaniu pojedynczych mieszkań, ile na wielkoskalowych inwestycjach. Dziadek Corda, Edward Cordington Stockton, odziedziczył po przodkach dość spory majątek. W latach siedemdziesiątych zainwestował go w zakup nieruchomości na Upper East Side od stojącego na granicy bankructwa miasta. Zapłacił niecałe pięćset dolarów za metr kwadratowy. Teraz metr kosztował tam trzynaście tysięcy, więc Stocktonowie stali się niezwykle zamożni. Razem ze swoim synem, a ojcem Corda, Chipem, Edward wykupił jeszcze kilka budynków na nadbrzeżu, od Dumbo po Brooklyn Heights. Kiedy w 2016 roku świadkowie Jehowy

postanowili wystawić na sprzedaż posiadane tam budynki, Stocktonowie skwapliwie skorzystali z okazji – dołączyli do grupy inwestorów, która nabyła słynne Watchtower oraz Standish Arms Hotel. Edward Cordington już wtedy nie żył, a z Chipem pracował Cord, reprezentant trzeciego pokolenia Stocktonów w nieruchomościach.

Jak na ironię sami Stocktonowie postanowili zamieszkać przy tak zwanych owocowych ulicach Brooklyn Heights – Pineapple, Orange i Cranberry Street, czyli trzech równoległych pasach brooklyńskiego cypla. Choć inwestowali przede wszystkim w przerabianie starych budynków w luksusowe nowoczesne kondominia, jako siedzibę obrali sobie teren, na którym urząd ochrony zabytków zabraniał wszelkich istotnych zmian. Na fasadach widniały tabliczki z datami 1820 czy 1824. Były tam małeńkie obite deskami domy, zielone ogrody ukryte za bramami z kutego żelaza, dawne stajnie i powozownie. Nawet sieciówkowa drogeria CVS miała ściany porośnięte bluszczem i wyglądała jak przeniesiona wprost z angielskiej wioski. Sasha uwielbiała zwłaszcza budynek na rogu Hicks i Middagh, dawną aptekę z mozaikowym napisem „DRUGS” przy wejściu.

Ze strony matki rodowód Corda był chyba jeszcze bardziej prestiżowy. Tilda Stockton, née Moore, wywodziła się z długiej linii elit politycznych. Zarówno jej ojciec, jak i brat byli gubernatorami stanu Nowy Jork, a wzmianki o samej Tildzie pojawiały się w rodzinnych artykułach biograficznych w „Vogue” i „Vanity Fair”. W wieku lat dwudziestu jeden poślubiła Chipa Stocktona i choć nigdy nie miała pracy na etacie, zyskała reputację doskonałej konsultantki eventów, co sprowadzało się do tego, że zapoznawała zamożne koleżanki ze swoimi ulubionymi planerkami. Dla Tildy Stockton przyjęcie nie było przyjęciem bez

wizji, tematu, krajobrazu stołu i dress code'u. To wszystko sprawiało, że Sasha miała ochotę schować się pod stertą koktajlowych serwetek z monogramem.

Pierwsze miesiące po ślubie Sasha poświęciła na oswojenie się z nowym domem przy Pineapple Street. Postanowiła, że będzie archeolożką, która bada starożytną cywilizację swoich teściów. Zamiast grobowca Tutenchamona znalazła przypominającą zniekształconego grzyba popielniczkę, którą Darley zrobiła w szóstej klasie; zamiast zwojów znad Morza Martwego – szkolne wypracowanie Corda o typach szyszek; armię terakotową zastąpiła szufłada pełna darmowych szczoteczek do zębów, które rozdawał dentysta z Atlantic Avenue.

Pośród byłych pokoiów dziecięcych najgorszy był ten po Darley, ale właściwie żaden nie był naprawdę pusty. Sypialnia Corda została opróżniona, kiedy wyjechał na studia, ciągle jednak znajdowały się tam: pozłacane srebrne świeczniki, zestaw ogromnych mandaryńskich wazonów i kilkanaście oprawionych obrazów, które Stocktonowie zgromadzili przez lata, ale których nie mieli gdzie powiesić. W pokoju Georgiany nadal zalegały jej gimnazjalne podręczniki i albumy na zdjęcia oraz cała półka pucharów tenisowych. W głównej sypialni, choć wyniesiono z niej ubrania i biżuterię, nadal zostały dekoracje i meble po poprzednich lokatorach. Sashy niezwykle trudno było osiągnąć orgazm, kiedy mahoniowy zagłówek stanowiący prawdopodobnie schedę po którymś z kongresmanów czy sekretarzy do spraw transportu głośno walił w ścianę.

Wciskając swoje puste walizki do i tak przepełnionych już szaf, Sasha zastanawiała się, czy będzie jej wolno wymienić choćby zasłonę prysznicową. Pewnie lepiej z tym trochę poczekać.

\*

Chip i Tilda zorganizowali parapetówkę w swoim nowym mieszkaniu przy Orange Street. Poprosili, żeby dzieci i ich małżonkowie zjawili się wcześniej. Przyjęcie odbywało się w środę wieczorem, bo znajomi Stocktonów w większości spędzali weekendy w swoich wiejskich rezydencjach, dokąd zwykle wyruszali w czwartek. Nowojorskie życie towarzyskie Chipa i Tildy toczyło się więc tylko od poniedziałku do środy, zanim przyjaciele nie rozjechali się po najdalszych zakątkach Long Island i hrabstwa Litchfield.

– Jak mam się ubrać? – zapytała Sasha Corda, stojąc przed szafą. Nigdy nie wiedziała, co włożyć na spotkanie z jego rodziną. Miała wrażenie, że istnieje jakaś księga stylu, którą wszyscy się inspirowali, ale ona nie ma do niej wglądu.

– Jak chcesz, kochanie – odparł Cord, co niezbyt jej pomogło.

– Mogę iść w dżinsach?

– W dżinsach może lepiej nie. – Cord zmarszczył brwi.

– Dobra, w takim razie mam włożyć sukienkę? – zapytała z irytacją Sasha.

– Hmm, mama powiedziała, że hasło przewodnie to: „Wyżej i dalej”.

– Nie wiem, co by to miało znaczyć.

– Ja pójdę tak, jak byłem w pracy. Przypuszczam, że większość tak robi.

Cord do pracy nosił garnitur i krawat, co zupełnie nie miało przełożenia na rzeczywistość Sashy – równie dobrze mógłby powiedzieć, że przyjdzie w fartuchu chirurgicznym albo w skafandrze strażaka. Nie wiedziała,

co zrobić, więc dla bezpieczeństwa postanowiła włożyć ładną białą bluzkę, granatowe spodnie i malutkie diamentowe kolczyki, które dostała od matki po obronie dyplomu. Pomalowała usta i z uśmiechem popatrzyła na siebie w starym lustrze nad kominkiem. Czowała się klasycznie elegancka, jak Amal Clooney, która wychodzi z ONZ-etu na kolację z George'em. „Wyżej i dalej” – w rzeczy samej.

Kiedy dotarli na miejsce, siostry Corda już tam były. Georgiana wyglądała pięknie i promieniała artystyczną nonszalancją: długie brązowe włosy swobodnie spływające po plecach, luźna sukienka do kostek, nos upstrzony piegami. Darley natomiast miała na sobie kombinezon z paskiem, który na pewno pojawił się w „Vogue Italia”. Mąż Darley, Malcom, stał przy jej boku. Na jego widok Sasha odetchnęła z ulgą. W tym dziwnym świecie, jakim było szwagrostwo, dość wcześnie zidentyfikowała go jako sojusznika. Mieli nawet własne hasło, które mamrotali, kiedy robiło się naprawdę dziwnie: NMR. Oznaczało: „nie moja rodzina”, i usprawiedliwiała wszelkie sytuacje, kiedy czuli się zewnętrznymi obserwatorami dziwnych WASP-owskich rytuałów, na przykład kiedy w lipcu Stocktonowie wymusili na nich pozowanie podczas profesjonalnej sesji fotograficznej do portretu rodzinnego, który zamierzali rozesłać jako kartkę świąteczną. Wszyscy mieli ubrać się na czerwono i zielono, a potem stanąć w półkolu za Chipem i Tildą, którzy siedzieli na krzesłach. Fotograf rozstawiał ich prawie godzinę. Oni piekli się w słońcu, w tym czasie gospoia Stocktonów, Berta, rozkładała grilla, a ogrodnicy podlewali rośliny, starannie unikając kontaktu wzrokowego z pracodawcami. Sasha miała wrażenie, że należy do klanu Romneyów, i czuła się kompletnie zażenowana całą sytuacją, ale

mogła przynajmniej wymieniać porozumiewawcze spojrzenia z Malcolmem. Razem byli niczym studenci na wymianie zagranicznej, których połączyła świadomość, że wylądowali w bardzo dziwnej krainie.

Berta przygotowywała parapetówkę przez cały dzień, więc stół w jadalni uginał się od srebrnych półmisek z krewetkami na lodzie oraz tac z fikuśnymi tartinkami – były okrągłe krakersy z pieczenią wołową, trójkątne kanapeczki z wędzonym łososiem oraz maleńkie placuszki krabowe. Kieliszki z białym winem gospościa ustawiła na tacy i stała z nią przy drzwiach, tak żeby goście mogli się napić tuż po przybyciu. Wino czerwone było oczywiście zakazane, głównie ze względu na nowe dywany, ale też dlatego, że ohydnie barwiło zęby. A Tilda miała obsesję na punkcie białych zębów.

Goście zaczęli się schodzić i Sasha rozpoznała wiele osób ze swojego wesela. Stocktonowie zaprosili na nie tyłu znajomych, że przez cały wieczór wymieniała uściski rąk i próbowała spamiętać imiona. Przerwę miała tylko wtedy, kiedy jej kuzynom udało się porwać ją na parkiet, żeby pofikała do *Baby Got Back*. Przyjęcie było niezwykle eleganckie.

Cord znał wszystkich i szybko został zaciągnięty do gabinetu, gdzie miał pokazać jakiemuś łysemu jegomości ojcowską kolekcję zegarków. Zawierała ona rzadkie zegarki wojskowe, stare modele marki Patek oraz rolexy z połączanym i matowym cyferblatem, które Chip odziedziczył po swoim ojcu. Chronometry były tak cenne, że kilka domów aukcyjnych zgłosiło się do niego z propozycją zakupu, ale odmówił. Nigdy ich nie dotykał ani nawet ich nie oglądał, ale zdaniem Corda tata lubił wiedzieć, że ma w mieszkaniu wartościowe przedmioty, coś jak zwitki banknotów pod materacem. (Sasha przypuszczała,

że bardziej chodziło o rodzinną niechęć od pozbywania się rzeczy).

Georgiana siedziała na kanapie i rozmawiała szep-tem z matką chrzestną, natomiast Darley i Malcolm otoczeni grupką bywalców z klubu tenisowego przy Montague Street pokazywali na iPhone'ie zdjęcia swoich dzieci. Georgiana często wybierała styl artystycznej nonszalan-cji – zarzucona na ramiona kurtka, pęk niedobrych bransoletek z koralików, ale Darley zawsze wyglądała klasycznie i kosztownie: brązowe włosy obcięte do ra-mion, dyskretny makijaż, oprócz małego złotego zegarka i obrączki ślubnej praktycznie zero biżuterii. Lekko za-kłopotana Sasha stała niezręcznie z boku, nie wiedząc, jak dołączyć do rozmowy. Z ulgą zauważyła więc, że zbliża się do niej kobieta z kaskiem blond włosów i sze-rokim uśmiechem.

– Dzień dobry, poproszę jeszcze jedno chardonnay – powiedziała nieznajoma, wręczając Sashy pusty kieliszek z tłustymi odciskami palców.

– O, przepraszam, ja jestem Sasha. – Zaśmiała się, przykładając rękę do piersi.

– Dziękuję, Sasha – odparła wesoło kobieta.

– Oczywiście – Sasha jakoś się pozbierała. Wzięła kieliszek do kuchni, napełniła go jakimś winem z lo-dówki i odniosła do jadalni, gdzie kobieta odebrała go od niej z szeptanym „dziękuję”, a potem dołączyła do męża, który pałaszował pieczoną wołowinę. Sasha ru-szyła do salonu, żeby poszukać Corda, ale drogę zagro-dził jej krępy facecik w muszce, który wręczył jej brudny talerz, kiwnął głową i wrócił do rozmowy. Zdezoriento-wana Sasha zaniósła talerz do kuchni i położyła go na la-dzie. Podobna sytuacja wydarzyła się jeszcze cztery razy, aż w końcu Sasha dotarła do Corda, przykleiła się do jego

boku i sącząc własną lampkę wina, odliczała minuty do końca. Czyżby ludzie instynktownie wyczuwali, że nie ma błękitnej krwi? Czy z jej włosów unosił się smrodek państwowej edukacji, jakby cały długi dzień spędziła nad skwierczącą od tłuszczu patelnią? Rozejrzała się wokół, obserwując zgromadzone kobiety. Stanowiły zgraję eleganckich pudli, a ona czuła się jak zestresowana świnka morska.

W końcu goście sobie poszli. Chip zaciągnął Corda do biura, żeby dać mu artykuł, który wyciął z gazety „Journal”. (Chip i Tilda nadal wycinali artykuły, wzbraniając się przed podsyłaniem linków).

– Dobrze się bawiłaś? – zapytała Darley, zakładając lśniący kosmyk za ucho.

– Tak, było naprawdę miło – wysiliła się Sasha.

– Świetna rozrywka: zabawianie rozmową starszków, których nawet nie znasz.

– Jedno mnie tylko zdziwiło – wyznała Sasha. – Ludzie ciągle dawali mi brudne talerze. To nic strasznego, ale ty też tak miałaś?

– Ha, ha – zaśmiała się Darley. – A to dopiero! Wcześniej tego nie zauważyłam, ale jesteś ubrana tak samo jak Berta! Pewnie myśleli, że jesteś z obsługi. Cholera, Malcolm! – zawołała męża, żeby mu o tym opowiedzieć.

Wszyscy się śmiali, Cord podszedł, żeby pomasować jej ramiona i upewnić się, że też ją to bawi. Sasha obróciła wszystko w żart, ale w głębi duszy przyrzekała sobie, że już nigdy, przenigdy nie włoży do Stocktonów białej bluzki.